GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: roczna . 5 zł. 50 ct.
półroczna 3 „ — „
kwartalna 1 „ 50 ct.
Za granicą: do Niemiec 11 mar.
Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
Ameryki . . . . . . 3 dolr.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN DUCHOWIEŃSTWA
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 5. I. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

Rok IV. We Lwowie dnia 24. grudnia 1896. Nr. 51.

LORETTO.

Wrażenia z podróży

W maju bieżącego roku, zamieszkując dla poratowania zdrowia sanatoryum w Ice, wybrałem się z księdzem polakiem i dwoma kapłanami czeskimi w pielgrzymkę do Loretto.

Przenocowaliśmy wszyscy czterej w Fiume, a ślicznym majowym porankiem wsiadamy na statek, mający nas przewieść do Ankony, skąd tego samego dnia za godzinę przybędziem do Loretto.

Płyniemy wzdłuż wybrzeży Quarnero. Okręcik nasz, w miarę jak się wychyla ku pełnemu morzu, w oczach nieledwo maleje. Bo czemże on jest w porównaniu do oceanu? A jednak, jakiż pewny siebie nasz parowiec, jak mknie szybko po fali, co chociaż nad wyraz cicha a jednak zdziwiona zda się, ba trochę pogniewana bezwzględnem jej traktowaniem przez nieproszonego wędrowca.... Z gniewu sinieje, blednie, w tysiące bruzd drobnych marszczy swoje czoło.

Lecz nie bierzemy sobie pomruku morza do serca; dziś ono się nie zdąsa na dobre; burzy żadnej nie będzie.

Niedługo zostawiamy za sobą ostatnie lądu znaki, a zanim się nam zjawi wybrzeże włoskie, czas jakiś płynie się w zupełnie otwartym oceanie. I dopiero gdy dla oka pękło ogniwo, które go dotąd z lądem łączyło, gdy morze, jeszcze przed chwilą zwolna a nieśmiało pierś swą wysuwając, teraz już ogarnia mię ze stron wszech: dopiero wówczas odkrywa się mej duszy wszechwładztwo i królestwo morza w jego istotnym charakterze, tak różnym od świata lądu stałego, do którego się nawykło i z którym się zrosło.

Ląd w każdej swej części przedstawia granice, morze wyrazem jest czegoś bezgranicznego. Na lądzie jakby na wosku miękkim odcisnął wszędy czas swe ślady, nie oszczędzając najtwardszych kamieni i gór pokładów, co porysowanem ku nam patrzą starości obliczem: tu na morzu gdzieś zgubił się czas; a raczej po śliskiej, szklistej powierzchni oceanu przeszedł ów niszczyciel bez śladu żadnego: te fale morskie dziś tak żywe, tak młode, jakie były wówczas jeszcze, gdy je twórcza moc powołała do życia. Jeśli, słowem, ląd jest w każdej swej piędzi wyrazem skończoności, to ocean przeciwnie przedobraża nieskończoność. A jaki on piękny! Ląd swój wdzięk każdziuchny i bogactwo niesie na promienie słońca, a ocean skarby swe kryje we wnętrzu, bo dosyć jeszcze zostanie mu piękna i życia w samej mieniącej się wciąż tęcz tysiącami powierzchni, która, kojarząc w sobie i bezmiar spokojny i życie najpełniejsze, najplastyczniej też przedobraża nieskończoność Boga — nie zmartwiałą, lecz wciąż pełną i ruchu i życia.

Nareszcie rysują się brzegi włoskie, wyrazistsze i coraz wyrazistsze, aż na wielkim cyplu skały w ślicznem wzniesieniu amfiteatralnem ukazuje się Ankona, cel naszej morskiej podróży. Już jesteśmy w przestronnej zatoce, lecz wiele czasu zbiegnie, zanim okręt przypnie się linami do brzegu. Rzecz to naturalna. Statkom, zrodzonym i urządzonym do poruszania się nad głębinami morza, każda mielizna, choćby portowa, pewne przedstawia niebezpieczeństwa, pewne każe przedsiębrać środki ostrożności, znów przymusza okręt do ruchów jakby na wpół sparaliżowanych i jakby wymuszonych, a przecie koniecznych, zanim się statek wpędzi w upatrzony punkt zatoki.

Czyż i w życiu nie jest to jedną z głównych trudności, iż duszę, do nieskończoności zrodzoną, zatrzymują w biegu liczne mielizny trosk codziennych i spraw czysto ziemskich, a jednak nieuniknionych?

Już stanął nasz okręcik. Wychodzimy na pokład, powitani przez chmury tragarzy, z których każdy rad nieść nasze rzeczy, a nawet nas samych. Przebiwszy się mężnie przez hałaśliwe i niesforne ich szeregi, dopadamy szybko fiakra i pędzimy co tchu, gdyż zaledwie pół godziny czasu pozostaje do odejścia pociągu.

Jak później żałowaliśmy, iż z obawy zbytniego opóźnienia, nie przystaliśmy na propozycyę fiakra, który nas wprost chciał odwieść do Loretto. Cóż to za śliczna byłaby droga była wzdłuż wybrzeża morza w tak malowniczej okolicy! Do tego jazda w otwartym powozie, tyle powolniejszem odbywająca się tempem, dająca możność zatrzymania się według woli podróżnika, jazda taka ma w sobie coś zawsze daleko bardziej spoufalającego z okolicą, niźli pędzenie kolejowym pociągiem.

Jest ona jakby ciepłym braterskim uściskiem obcej dłoni, podczas gdy pociąg, w którym indywidualizm turysty ginie zupełnie, w swym szybkim, niewstrzymanym ruchu ma w sobie coś dziwnie zimnego i zda się wciąż dumnie odpowiadać spieszącym na jego powitanie wioskom i miastom: „A cóż wy mnie obchodzicie? Was potrzebuję tyle tylko, by przebiedz po waszym grzbiecie i karkach“.

Ale stało się. Oto nareszcie brudny i rojny dworzec Ankony. Bilety kupione, wsiadamy do nędznego włoskiego wagonu i ruszamy w drogę, a lubo morską podróżą bardzo zmęczeni i podrażnieni, ożywiamy się balsamiczną wonią powietrza i widokami, które wkradając się przez okna wagonu, gwałtem nęcą ku sobie znużone powieki.

Loretto! wywołuje konduktor. Upojeni radością wyskakujemy z pociągu i z małej stacyjki udajemy się między arcynędznych fiakrów, z których jeden, nie wiemy kiedy i jak przychwytał na kozioł nasze zawiniątka i tem nas zmusił do zajęcia miejsca w jego powozie.

Z nastroju, jaki budzić musi bliskość świętego miejsca, gwałtem nas wyprowadza niemała obawa, że nasz ekwipaż nie dociągnie do końca acz niedalekiej podróży, bo trzeszczy i jakoby cały się rozchodzi. A nasza trwoga rośnie nie na

żarty w miarę, jak woźnica włoski do prędszego ruchu nagania wychudłego, do szkieletu czy upioru podobnego rumaka, a przynagla go do biegu żywymi okrzykami i gestykulacyą, zdradzającą temperament gorący syna Italii, i jeszcze wymowniejszymi od gestykulacyi razami. Widać, nie nawykliśmy jeszcze do włoskich fiakrów; powóz się jakoś nie rozpadł, a nasz wehikuł jednokonny toczy się szybciej pod stromą a wysoką i wielką górę loretańską, niż niejedna galicyjska czwórka. Wśród łąk, okalających jednym, gęstym płaszczem zieleni całe Loretto, jak jeno okiem zajrzysz, a zieleni wiele żywszej i bogatszej niż nasza, jakiejś, rzekłbym, nadobfitej farbami, pośród szpaleru drzew przebyliśmy w mgnieniu oka dłuższą przestrzeń i już wjeżdżamy w niewielkie miasteczko, które swe imię, sławne w pięciu częściach świata, zawdzięcza wspaniałej, nad domy i kamienice górującej bazylice, a raczej skarbowi, który ona kryje w swem wnętrzu.

Lecz zanim będziem się mogli przedostać do tak gorąco upragnionego celu naszej pielgrzymki, poprzód zakosztujemy coś z pierwszego przyjęcia przez natrętów włoskich, które niestety niemile się odbije na starganych już podróżą nerwach. Jak przy wsiadaniu przemocą nieomal wpakowani zostaliśmy na fiakra, tak obecnie prawie gwałtem wysadzono nas z niego; jak wtedy bez naszej wiedzy i woli pakunki niewidoma jakaś siła wywindowała na kozioł, tak teraz rąk obcych kilka, ani myślących się liczyć z wolą właścicieli, rozchwytuje je i naturalnie pociąga nas za naszą własnością.

Daremnie wołamy, o co nam chodzi; nasi opiekunowie mają swój już z góry ukartowany plan, w którym nikt, a najmniej już my sami, bruździć nie śmie. Odniosłem wrażenie, żeśmy się dostali w jakieś olbrzymie roisko, które się całe poruszyło, za przybyciem ofiar. Nie myśmy obierali mieszkanie i hotel, nie myśmy się o to godzili, a natarczywa grzeczność i opieka naszych gospodarzy nałożyła nam twarde jarzmo przymusu: „tam będziecie a nie gdzieindziej". Działo się to wszystko tak szybko a tak energicznie, iż nawet nie było czasu na refleksyą, że przecie nie kto inny, tylko my panami naszej woli.

Wśród całej przymusowej podróży w olbrzymim kwadracie, którego jedną stroną jest sama bazylika, drugim bokiem długa piątrowa kamienica w średniowiecznym stylu, mieszcząca w sobie apartamenta biskupie, księży, namiestnika włoskiego a trzecim rząd sklepów i hoteli, wśród tego mówię pochodu, gawiedź kupców, a naprzemian żebraków opadała nas raz wraz. *Casa santa, casa santa*, brzmią okrzyki kramarzy i kramarek, nawet kupców poważniejszych; zabiegają nam drogę i natrącają się fotografiami, to medalikami; opędzisz się jednemu, to zaczepia cię drugi.

Chcąc sobie urobić wyobrażenie o natręctwie kupca włoskiego, potrzebaby się przejść we Lwowie przez Zarwanicę, gdzie dobrze z wejrzenia, stroju i natarczywości znane nam kupczyki odgadują, czego twemu ubraniu jeszcze niedostaje, i gwałtem wmówią w ciebie, że ów kapelusz, czy laska, czy kalosz przecież tobie są nieodzownemi, a nim się rozmyślisz, już ich ofertę czujesz na głowie lub w ręku.

Włoski charakter, tak zbliżony do żydowskiego wyzysku, nawet zewnętrznie się mu upodabnia. Ale o włoskich żebrakach już trudno nabyć wyobrażenia. Potrzeba koniecznie widzieć ich i doświadczyć. W ich uprzykrzaniu się jest coś nieposchwytnego; i nie wiem, czy kornie proszą, czy też dumnie rozkazują lub tylko atakują na los szczęścia; jawią się ze wszech stron jakby z pod ziemi, wyciągają rękę, nie myśląc się ustąpić; ujdziesz przed nimi z ulicy, znajdą cię w sieni domu, a nawet spotkasz ich i w kościele, zawsze równie uprzykrzonych i wrzaskliwych. Może być, że ofiarność chrześciańska, do jakiej oni nawykli, każąca jałmużnę uważać nie za radę, ale za obowiązek, przyzwyczaiła też żebraków uważać jałmużnę za żołd należny, o który nie proszą, lecz się upominają; może też być, iż urządzają sobie obławy na pielgrzymów, a wprawieni w swem rzemiośle, wiedzą, iż natręctwem uzyskają najrychlej odczepne od znużonych przybyszów; może i wielka bieda, co wytwarza jakby kastę żebraków, a może wszystko razem zebrane składa się na typowy charakter włoskiego żebraka — *povero*. — Bądź co bądź jednak, jeśli przed chwilą porównałem się z ofiarą wrzuconą do mrowiska, to teraz zdało mi się, iż wraz z towarzyszami stanowię jakiś okropnie rozstrojony fortepian: struny w nim zastąpione są przez nieszczęśliwe nerwy, na których najniesforniejszy wygrywają chorał kupcy, żebracy, właściciele hotelu, przewodnicy i *tutti quanti*.

Czuję, że zbyt długo się rozwodzę nad drobiazgiem wrażeń, których przyczyny bodaj czy nie więcej szukać należy w zdrowiu lichem niż w świecie zewnętrznym. Zresztą ściśle odróżnić należy, nietylko w rozumie ale i uczuciu, ową najcenniejszą relikwię loretańskiego domku od tych, co z niej materyalnie żyją; marmur obryzgany różni się od błota, które go okrywa.

Ludziom wiele wybaczyć należy. Boż to rzecz stara, że im świętszy przedmiot, tem łacniej ulega nadużyciu. Człowiek oswaja się choćby z ciągłym cudem, obchodzi się z nim jakby z rzeczą codzienną i na tem nie poprzestaje. Pewnego dnia obróci się do świętości i powie: „ależ przecie mogę zysk z ciebie ciągnąć".

A ile obojętny był dla strony duchownej rzeczy, o tyle gorączkowym się staje dla doczesnej, ponieważ zaś rzecz im świętsza, tem więcej ściąga tłumów, tem więcej nastręcza sposobności wyzysku, więc też i tem żywiej, tem jaskrawiej, wyzysk ów w takich właśnie występuje miejscach. Czy jednak my sami pod tym względem jesteśmy bez winy? Bodaj czy rzeczą, którą nam Bóg na sądzie przedewszystkiem zarzuci, nie będzie rutyna.

Rutyna w obchodzeniu się z darami Bożymi, rutyna w stosunku do Boga.

Ależ nie nadużywamy przecie świętości. Nam się tak zdaje, lecz nie zawsze słusznie. My nieraz dotykamy się świętości może w dobrej intencyi i poczciwej myśli, ale dotykamy jakąś tak grubą i niezgrabną ręką, iż gdyby kto patrzył na nas taki, co po raz pierwszy zbliża się do świętej sprawy, zawołałby ze zgrozą, jak się woła w Loretto, Lourdes, czy Częstochowie nawet: „profanator". *(Dok. nast.)*.

X. Teodorowicz.

Z okazyi ruchu ludowego.

Wiązanka uwag pastoralnych.

(Dokończenie).

Innym potężnym środkiem do podtrzymania zachwianej w społeczeństwie naszem wiary i równowagi są misye i rekolekcye. Na brak rekolekcyi, już to ludowych i parafialnych, już też dla pewnych warstw lub stowarzyszeń urządzanych, narzekać u nas nie można. Misyi zaś od niejakiego czasu dla wielu po części słusznych, po części niesłusznych powodów bardzo ubyło, a to z niemałą szkodą dla sprawy. O ile były niedostatki w odprawianiu misyi, bez szczególnych trudności i prędko potrafią im zaradzić biskupi, a względnie prowincyałowie zgromadzeń zakonnych, misyi się podejmujących, byle im w właściwy sposób na te niedostatki zwrócono uwagę. Ale w obec dzisiejszego położenia misye obok rekolekcyi są pożyteczne i nawet potrzebne. Bo rekolekcye z natury swojej działają na pewne i ograniczone tylko koło, w najlepszym razie na jedną parafię; misye zaś wpływają na szeroką okolicę i mają za główny cel zwalczanie złych przywar lub uprzedzeń szeroko rozpowszechnionych. Tak n. p. pamiętam, że za młodych lat w rodzinnych moich stronach, w Prusach zachodnich, pijaństwo pomiędzy ludem było rzeczą tak zwyczajną, iż nikogo już nie raziło, a uchodził za człowieka co się nazywa trzeźwego, kto nie częściej jak kilka razy na rok się upijał. Od roku 1833 do 1860, odprawiono w jednej dyecezyi chełmińskiej przeszło 100 misyi, a w następnych 10 latach około dalszych 50. Prawda, że były tam warunki wyjątkowo korzystne: obywatelstwo i inteligencya prawie bez wyjątku brali żywy udział w nabożeństwach i razem z ludem całymi dniami, pod gołem niebem, słuchali słowa Bożego i korzyli się P. Bogu; dwory i inni pracodawcy, nawet licznie tam zamieszkali

protestanci, uwalniali robotników i służbę kolejno na tak długo, że każdy mógł nie 5, ale zwyczajnie po dziesięć kazań wysłuchać, a płacili im tak, jakby byli pracowali; służbie zaś dawano t. zw. strawne; był wreszcie, przynajmniej w pierwszych kilku latach, urok nowości. Ale też skutek był taki, że przez długie lata, w niektórych zaś okolicach, gdzie księża trochę gorliwiej i umiejętniej rzecz podtrzymywali, podziśdzień tak jest, że nie spotkasz katolika, używającego trunków palonych; w karczmach nawet na lekarstwo wódki nie trzymano, a opinia, raczej sumienie publiczne, tak silnie się odezwało, że chłopi nasi, jeżeli gdzie spotykali człowieka pijanego, to mawiali: eh, to nie nasz, to musi być luter, kiedy pijany. Podobnież, tylko w szybszem jeszcze tempie postępowała sprawa na Górnym Szląsku, bo był tam pomiędzy misyonarzami O. Antoniewicz, misyonarz taki, jaki chyba na sto lat raz się trafia.

Otóż obecnie, kiedy wyżej wymienione wady i ubytek wiary i pobożności coraz więcej się szerzą, a sumienie ludu, czyli opinia publiczna, w warstwach najwięcej zagrożonych prawie jakby zmilkło, potrzebne są misye, żeby sumienie to zbudzić, opinią katolicką wyrobić. Potrzebne są misye szczególnie przeciw tej formalnej, choć może nie zupełnie świadomej, schyzmie, jaką namiętna agitacya ks. Stojałowskiego pomiędzy ludem szerzy. Oczywiście byłoby grubą niezręcznoscią, albo nawet niedorzecznością, gdyby misyonarze zamierzyli sobie osłabić kazaniami swojemi popularność ks. Stojałowskiego; temby nikomu jeszcze do nieba nie pomogli; do korzenia siekierę przyłożyć powinni. Artykuł więc wiary o świętym Kościele powszechnym powinien być obecnie, tak samo jak niegdyś wojna przeciw pijaństwu, przedmiotem uprzywilejowanym ich nauk; dążyć powinni do tego, żeby ożywić pomiędzy wiernymi to katolickie przekonanie, że „kto Kościoła nie słucha, ten jest jako celnik lub publikanin“, — że „*Roma locuta est, causa finita est*“, — „*non potest habere Deum Patrem, qui non habet Ecclesiam matrem*“, — i t. p. Uzasadniam zaś moje zdanie o potrzebie misyi tem doświadczeniem, że jedna parafia, choćby doskonale była pouczona czy to bezpośrednio przez swego pasterza, czy też pośrednio przez rekolekcye, nie długo się przy dobrem utrzyma, jeżeli, jak wysepka morzem, tak ona jest otoczona złymi wpływami i prądami. Praca parafialna i rekolekcye są jakby siejbą prawdy, więc rzeczą niezbędnie potrzebną, ale cichą i niepokaźną, a zawsze narażoną na to, że „człowiek nieprzyjaciel“ rzuci wcześniej lub później na dobry posiew swój zły kąkol. Misya, jeżeli jej Pan Bóg błogosławi, staje się głośnym i jawnym tryumfem tej samej prawdy, który wszystkimi wstrząsa, dobrym dodaje odwagi, a przeciwników zawstydza. Oczywiście i misya, by też najświetniejsza, nie sprawia tego, żeby już na przyszłość zawsze było dobrze; przeciwnie musi być popartą przez pracę parafialną, której misya zazwyczaj przyczynia, ale ją też ułatwia i czyni żyźniejszą i przyjemniejszą. Zarzuci może kto, że misye podnoszą urok i znaczenie misyonarzy z ujmą dla powagi duchowieństwa parafialnego. Nie tu miejsce o tem się rozwodzić; odpowiadam krótko, że kto tak mniema, myli się i przypominam ono słowo Pawła św.: *modo praedicetur Christus*.

Nie podobna ominąć tu kwestyi, jak postępować mianowicie z takimi, co albo czytują gazetki zakazane, albo też jawnie lub skrycie popierają *nominatim excommunicatum et vitandum*. Zwracam uwagę, że *excommunicatio*, jakiej *de jure* podlegają *communicantes cum excommunicato vitando in crimine criminoso* jest rezerwatem papiezkim. Nie będę się zapuszczał w teoretyczny rozbiór kwestyi, czy i o ile exkomunika ta dotyka zwolenników i poplecznikow ks. Stojałowskiego. Póki Kongregacya nie wyda autentycznej deklaracyi, że nie podpadają pod tę karę i rezerwat, to zdanie takie, choćby wielu je podzielało, pozostanie w najlepszym nawet razie tylko *probabile*, a zatem *dubium* i uzasadniałoby wątpliwą tylko a więc w praktyce niedostateczną jurysdykcyą. W okolicach i parafiach więc takich, w których wypadki te w konfensyonale zachodzą, nic nie pozostaje, jeno żeby księża dla spokoju sumienia własnego i penitentów prosili swoich biskupów o władzę rozgrzeszania z tej exkomuniki albo ogólną, albo na ograniczoną liczbę wypadków.

Jeżeliby jednak penitent nie chciał zaprzestać czytania rzeconych pisemek, albo zerwać grzesznych stosunków z exkomunikowanym, to takiego jako *non dispositum*, t. j. jako nie mającego ani żalu, ani postanowienia poprawy względem grzechu wyraźnie i niewątpliwie śmiertelnego ważnie i bez popełnienia świętokradztwa *frustrationis Sacramenti* rozgrzeszyć nie można. Takim radziłbym jednak rozgrzeszenia nie odmawiać, ale tylko na pewien czas, choćby po kilkakroć z rzędu, odłożyć. Spowiednik bowiem jest i powinien być nie tylko sędzią, ale w równej mierze, albo i więcej jeszcze ojcem i lekarzem, więc jednym z bardzo ważnych obowiązków jego jest ten, żeby penitenta źle usposobionego usposobić dobrze. Na to zaś najgorszą metodą byłoby gniewać się i łajać, zwłaszcza w wypadkach takich, w których miłość własna penitenta i bez tego już mocno rozbudzona a nawet może przez uboczne wpływy podsycana. Szorstkie obejście z takimi penitentami zwyczajnie ten jeden tylko będzie miało skutek, że penitent zrazi się do spowiednika i spowiedzi i jeszcze więcej utwierdzi się w swoim uporze. Im większy jest grzesznik i im więcej zaślepiony, tem oczywiście jest też biedniejszy, i do takich z pewnością więcej, niż do materyalnie biednych, odnosi się ono słowo Pisma św.: *Beatus vir, qui intelligit super egenum et pauperem, in die mala liberabit eum Dominus.* Względem takich nie być twardym i nieużytym, ale zdobywać się na prawdziwą, wielką, serdeczną życzliwość potrzeba.

Niegdyś zdarzyło się, że P. Jezus z Apostołami zbliżył się do jakiejś mieściny samarytańskiej. Apostołowie byli dobrze głodni i spodziewali się, że w onem miasteczku dostaną się czem pożywić; tymczasem samarytanie zamknęli przed nimi bramy miasta. Apostołów to rozdraźniło, ale pokrywając, tak jak to i niejednemu z nas się zdarza, rozdraźnienie swoje płaszczykiem gorliwości o cześć powinną P. Jezusowi, pytają Pana: jeżeli chcesz, rzekniemy, żeby ogień z nieba zstąpił na to miasto; po naszemu by było: rzekniemy, niech ich jasny piorun trzaśnie! Na to im P. Jezus odpowiedział, a raczej, jak wyraźnie ma Pismo św., sfukał je: „Nie wiecie czyjego ducha jesteście, Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić, ale zachowywać“. Ta gorliwość gorąco kąpana, co w konfensyonale nie umie, jeno nabierać i besztać, a z ambony wiecznie prawi filipiki, nie wiem, więc nie powiem, czyjego, ale z pewnością nie ducha Bożego jest pełną. Miłości, albo żeby użyć wyrażenia mniej utartego i dlatego więcej do zastanowienia się pobudzającego, życzliwości prawdziwej, wielkiej, serdecznej, tej miejmy jak najwięcej, a tą kroplą miodu więcej much zwabimy, niż całą beczką octu i zgryźliwości. Perswadować takim w poczciwy i uczciwy sposób, że źle, a zarazem nie mądrze, sobie i o sobie i o swojem zbawieniu radzą, jeżeli wolą słuchać księdza jakiegoś więcej, niż biskupów, których Duch św. postanowił rządzić Kościołem Bożym, i więcej nawet niż samego Papieża, który jest najwyższym namiestnikiem P. Jezusa na ziemi i ma sobie od Niego powierzone klucze Królestwa Bożego. Perswadować *in omni patientia et doctrina*, a jeżeli natrafi się na tępą albo i twardą głowę, nie obruszać się, nie tracić cierpliwości i równowagi dla tego, że zabrakło mi mądrości albo zręczności, żeby od razu przekonać upartego człowieka, nie odpędzać go, ale raczej zachęcić, żeby powrócił, by mię na nowo wynudzić i irytować, a zawsze zakończyć tem: weź na rozum, com ci mówił, a Boga i Matki Najśw. proś, żeby otrzymać łaskę potrzebną; w tej intencyi odmów różaniec św., albo takie a takie pacierze; ja też za ciebie modlić się będę. I tego przy-

rzeczenia też dotrzymać, choćby tylko przy brewiarzu i *memento;* bo *multum valet assidua oratio justi.*

Prócz tych środków nadprzyrodzonych, które są główną naszą bronią, nie masz powodów, żeby pomijać lub lekceważyć sposoby i środki przyrodzone. Owszem, o ile to nam jest możliwem i mianowicie nie przeszkadza naszym obowiązkom duchowym, możemy i powinniśmy, mianowicie duchowieństwo świeckie, służyć dobru pospolitemu i w rzeczach doczesnych; bo są uczynki miłosierne co do duszy, nam szczególnie właściwe, ale są i uczynki miłosierne co do ciała, które nie powinny nam być obce, ani obojętne, choćby już dla tego jednego, że zanimeśmy zostali kapłanami, byliśmy chrześcianami, a przez to żeśmy zostali kapłanami, bynajmniej nie przestaliśmy być chrześcianami. Zresztą mamy słowo Apostoła: *omnibus omnia factus sum, ut omnes facerem salvos.* Niemało, dzięki Bogu, mamy księży, co wcale umiejętnie i pomyślnie zajęli się rozmaitemi instytucyami ku zwalczeniu niedostatku pomiędzy ludem, jako spółkami przemysłowemi, sklepikami chrześciańskimi, kasami reiffeisenowskiemi, kółkami rolniczemi i t. p. Zajęcia takie nie tylko ułatwiają księdzu styczność z ludźmi i wpływanie na nich, ale mogą go uczynić prawdziwym i wielkim dobroczyńcą owieczek jemu powierzonych. Ale jedno i drugie pod tym jedynie warunkiem, że postara się ksiądz o to, że sprawy, przez niego rozpoczęte lub w jakikolwiek popierane, będą się prowadziły porządnie i sumiennie i że nie da się niemi pochłonąć tak, aby miał zapomnieć na główne nasze zadanie pomnażania Królestwa Bożego, najprzód tu na ziemi, a ostatecznie i tem samem i w wieczności.

Wiem, że bynajmniej nie wyczerpałem przedmiotu; bo też nie chodziło mi o nic więcej, jeno żeby podzielić się z duchowieństwem niektóremi myślami, które zdawało mi się, że na jakąkolwiek uwagę zasługują. Nowego nic w nich nie powiedziałem. Bywają tylko stosunki i ludzie nowi, mrzonki też nowe; prawda zaś trwa zawsze jedna i ta sama i dlatego jest starą. O to głównie mi chodziło, żebyśmy na pierwszem miejscu, my księża, pamiętali, iż nie można prawdy dostosowywać do nowych stosunków, ludzi i mrzonek, ale wszystko to potrzeba dostosowywać do prawdy, bo *„veritas Domini manet in aeternum“.*

X. Henryk Jackowski T. J.

Z prasy peryodycznej.

Gwiazdka cieszyńska, dawniej szczerze katolicka, przybrała w ostatnich czasach niemiły dla ucha katolickiego ton agitatorsko-szowinistyczny; kilka też razy uchybiła ciężko, a najniesłuszniej księciu-biskupowi wrocławskiemu, kard. Koppowi. Stało się więc, co stać się było powinno: kardynał polecił wszystkim swoim księżom wystąpić z „katolickiego Towarzystwa prasowego“, które jest *Gwiazdki cieszyńskiej* właścicielem i z tego tytułu na nią łoży.

W obronie pisma cieszyńskiego wystąpiła *Nowa Reforma* (z 13. b. m. Nr. 287), twierdząc [1]), że w nrze 41 *Gwiazdki,* na który kardynał się powołał, „niema żadnego artykułu, wyszydzającego zarządzenia kościelne, lecz jest tylko całkiem słuszna skarga na to, że w karwińskim kościele zaprowadzono kazania niemieckie i niemieckie nabożeństwo dodatkowe“.

Zupełnie bezcelowem byłoby spieranie się z *Reformą* na temat, co jest „wyszydzaniem zarządzeń kościelnych“; na tym punkcie *Reforma* ma nerwy stępione. Poprzestaniemy na przytoczeniu niewątpliwych faktów, z których się okaże, czy „skarga“ *Gwiazdki cieszyńskiej* jest słuszną.

Gdy w kwietniu b. r. skutkiem śmierci proboszcza zawakowało beneficyum w Karwinie, pewna część Karwiniaków głośno żądała — *excusez du peu,* — aby opróżnione probostwo nadano ks. Stojałowskiemu.

JE. Kopp pojął, że wśród zdemoralizowanych przewrotną agitacyą parafian każdy kapłan świecki będzie miał gorzki żywot; postanowił zatem prowizorycznie i do czasu oddać administracyą kościoła karwińskiego OO. Jezuitom, aby przez nieustającą niejako misyą podnieść moralny poziom parafii. Równocześnie postarał się, aby 5-cioklasową i drugą, 3-klasową, szkołę żeńską objęły Siostry szkolne. Te zarządzenia nazwała *Gwiazdka cieszyńska* „ustawieniem maszyny do niemczenia o 4 kołach i 3 śrubach“. Aluzya jest tak przejrzysta, że zrozumiała ją nawet *Reforma.*

Na żądanie ks. kardynała przybyli 15. sierpnia b. r. z Galicyi do Karwina: O. Christian, jako superyor, OO. Kurcz, Bejgert i Burkiewicz, jako pomocnicy. Od tej pory do chwili dzisiejszej wszystkie kazania w kościele karwińskim mówiono po polsku. Raz tylko, w dzień powszedni, na św. Katarzynę, gdy państwo Larischowie chcieli obchód srebrnego wesela rozpocząć od wysłuchania mszy św., O. Superyor do jubilatów, nie umiejących po polsku, przemówił w języku niemieckim, ale zaraz dodał polską naukę dla zgromadzonego ludu.

Śpiew i całe nabożeństwo dodatkowe w Karwinie jest wyłącznie polskie; tylko mszy św. nie odprawia się po polsku, ale i nie po niemiecku, lecz po łacinie.

Podobnie rzecz się ma ze szkołami. Do parafii karwińskiej należą: miejscowe szkoły 5-cioklasowe, męska i żeńska, mieszana szkoła 5-cioklasowa na kolonii „Sowiniec“, trzyklasowa dziewcząt i trzyklasowa chłopców na kolonii Henryka, dwuklasowa szkoła chłopców i dziewcząt w Olbrachczycach. We wszystkich tych szkołach bez wyjątku udziela się nauki w języku polskim. Nic więc żadnego śladu wynaradawiania Polaków szląskich przez ks. kardynała Koppa.

Natomiast wiadomo, że kardynał przyczynia się znacznemi sumami do budowy polskich kościołów tak na górnym Szląsku, jak na austryackim. Wiadomo też, że, odbywając wizytacye w polskich stronach, sprowadza sobie zawsze księdza z Galicyi, aby ludowi tłómaczył wszystkie jego przemowy. Zapytany raz, dlaczego z dalekich stron ściąga Polaka, gdy miejscowi księża mogliby mu służyć za tłómaczy po czesku lub w szląskiej gwarze, odpowiedział: „Es ist eine Beleidigung für das Volk, wenn man zu ihm nicht in der Schriftsprache spricht“. Jest wreszcie publicznie na Szląsku wiadomem, że kardynał Kopp często przypomina swoim księżom obowiązek nauczenia się polskiego języka.

Gwiazdka zarzuca kardynałowi, że probostwa około Cieszyna nadał Czechom. Pozwolimy sobie tu zauważyć, że probostwa te obsadza nie kardynał, lecz cieszyński wikaryusz generalny, który pewnie dałby Polakom pierwszeństwo, gdyby — ich miał.

Pobieżne to zestawienie nagich faktów wystarczy, by wykazać, że kardynał Kopp bardzo słusznie zabronił księżom współudziału w wydawnictwie, które pod firmą katolicką kolportuje szkodliwe kłamstwa i oszczerstwa.

Reforma sądzi inaczej i oburzona woła: „Na jakiej podstawie prawnej ks. biskup wrocławski, sam będąc poddanym pruskim, pozbawia poddanych austryackich praw, zagwarantowanych im zasadniczemi ustawami państwa, — to rzecz wytłómaczenia godna“!

Okrzyk ten jest jaskrawym dowodem ignorancyi, panującej w redakcyi przy ulicy św. Jana w Krakowie. Pierwszy lepszy chłopak z 4-tej klasy ludowej pouczyłby ją, że w Kościele katolickim, jak nie było za czasów św. Pawła ni Greków ni barbarzyńców, tak niema i dzisiaj ani poddanych austryackich, ani pruskich, lecz tylko jest kler i lud, w łonie zaś kleru są kapłani, obowiązani do posłuszeństwa względem swych zwierzchników i biskupi, posiadający prawo rozkazywania.

[1]) Artykuł *Reformy* powtórzył *Kuryer Lwowski* (Nr. 349 z 16. b. m.) z wymienieniem źródła, *Dziennik Polski* zaś przeredagował go nożycami na własny artykuł wstępny (Nr 348 z 15. b. m.).

Misyonarz i poeta.

(Ks. Karol Antoniewicz T. J. przez ks. Jana Badeniego T. J. Kraków 1896, str. 417, z portretem, cena 2 złr.).

(Dokończenie).

Jan (później ksiądz) Koźmian te słowa skreślił o ks. Antoniewiczu zaraz po jego zgonie [1]):

„Śmierć wielkiego kapłana. którego podobało się Panu Bogu wezwać do siebie w połowie świętego, a użytecznego żywota, zapisujemy z uczuciem głębokiego smutku. Jestto strata powszechna w biednym kraju naszym, gdzie od dawna nie widziano męża takiego apostolskiego ducha, takiej zdolności, pełnej wdzięku. Jest to rodzinna strata dla tych, co znali bliżej owo czyste, wzniosłe. gorąco miłujące serce, co w sercu tem znajdowali skarby spółczucia, troskliwości, wyrozumiałości, dobroci".

„Ks. Antoniewicz umiał być wszystkiem dla wszystkich, a dla każdego wszystkiem w dobrą porę. Z kazalnicy głos jego grzmiąco się podnosił przeciw zepsuciu grzechowemu, usta jego z niezachwianą siłą prawdy wiary wykładały. W konfesyonale, przy ognisku domowem, był to ojciec najczulszy, umiejący koić, zachęcać, opatrywać wszelkie rany moralne, umiejący płakać z zasmuconymi, radość szczęśliwych uświęcać, a zawsze pociągać wylaniem, ośmielać prostotą i pokorą. Gdzie tylko zatrzymał się on na chwilę, tam zaraz stawał się środkiem szlachetniejszych zajęć życia, a każdemu się zdawało, że to nie nowy przyjaciel się pojawia, jedno brat kochający, dawno oczekiwany, powrócił".

„I nie nie było szczerszego, jak miłość ks. Antoniewicza dla ludzi. On ich kochał w Bogu, a Pan Bóg rozprzestrzeniał mu serce i wlewał w nie nieograniczoną siłę kochania. Tem więcej i tem lepiej kochał, że sam wiele przecierpiał, wiele doznał goryczy. Miłość płynęła tam z ofiary bolów własnych, co jej szczególne namaszczenie, niezwykłą dostojność dawała".

„W tej pierwszej chwili najrzewniej żałujemy człowieka. Wszakci to nie umniejsza czci naszej dla misyonarza, zakonnika, mówcy kościelnego".

„Jakżeśmy się radowali, kiedy na wiosnę z ptastwem niebieskiem przybyli do nas wypróbowani pracownicy Chrystusowi i z usilnością jęli się zwycięzkiej swojej roboty; z jakąż serdeczną pociechą ujrzeliśmy na ich czele tego kaznodzieję i pisarza, którego znaliśmy już i kochali z pism jego, jasno odbijających błękit pogodnej duszy? Przyszła jesień, ptactwo odleciało i on rozwinął skrzydła do lotu w górę. Ptactwo powróci znowu: jego już więcej widzieć nie będziemy".

II.

Taki kapłan nie był u nas dotąd należycie uczczony. Nie zdobyliśmy się ani na wydanie zupełne jego pism wszystkich, nie tylko osobno wydawanych ale i rozrzuconych po rozmaitych pismach [2]) zbiorowych (zabierał się do tego ś. p. ks. Polkowski, ale się na ogłoszeniu zamiaru skończyło). ani na obszerniejszy jego żywot. Po ks. Polkowskim, który w roku 1861 w Warszawie ogłosił *Wspomnienie* o ks. Antoniewiczu, wziął się do większej pracy dopiero w r. 1875 obcego narodu kapłan, ks. Speil, obecnie kanonik wrocławski i w języku niemieckim dokładne, o ile dla niego było podobnem, ogłosił dzieło. Ale i ono nie było wyczerpującem i z natury rzeczy więcej u Niemców niż u nas stało się znanem w Polsce. Spółbracia zakonni ks. Antoniewicza czuli, że mu się trwalszy pomnik literacki należy, a jeden z nich, ś. p. ks. Iwon Czeżowski, dawny towarzysz jego apostolskich trudów, zajął się mozolnem gromadzeniem materyałów do napisania żywota, tak drukowanych, jak rękopiśmiennych. Zanim dzieło zamierzone wykonać zdołał, śmierć wytrąciła pióro z ręki czcigodnego starca [3]). Przejął po nim niespełnione zadanie ks. Badeni i owocem swej pracy dzieli się z nami obecnie.

Powiedział, prawda, poeta, że trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę, ale z tego znów nie wynika, aby autorstwo było łatwe i bez zasługi. Są ludzie, którzy mają wszystkie warunki, aby się stali autorami: i naukę i bibliotekę zasobną i zachętę, a nawet do pisania pociąg, a przecież życie im zejdzie i albo nic do druku nie podadzą, albo drobnostki, choć ich było stać na więcej. Najrozmaitsze składają się przyczyny na tę niepłodność literacką. Jak poeta *non fit sed nascitur*, tak też każdy piszący ma od urodzenia wlaną ochotę i zdolność do autorstwa, chociaż ono w różnej wartości objawia się kierunkach. Nic byłaby literatura polska nie straciła, gdyby ks. Wincenty Kraiński nie był kilkunastu swoich sążnistych wydał ramot, a tymczasem Antoni Malczewski jeden tylko po sobie pozostawił w spuściznie poemat.

Więc choć nie wielka napozór rzecz napisać księgę, a tem łatwiejsza, gdy się ma cały materyał przez kogo innego przysposobiony, nie mniejsza jest zasługa ks. Badeniego, że nam dał żywot ks. Antoniewicza i to godny jego imienia i zasług.

Obfitość źródeł jest ułatwieniem ale też i trudnością, z której nie każdy zdolen jest się wywikłać, jeżeli nie chce zejść na prostego wydawcę surowych materyałów Biografa inne jest zadanie. Ma on przedstawić swego bohatera na tle wieku, otaczających go ludzi i wypadków spółczesnych, opisać nie tylko koleje jego życia, ale i odmalować fizyognomią jego moralną, działanie i wpływ na społeczeństwo. Dobra biografia do łatwych zadań bynajmniej nie należy, tak trudno utrzymać miarę i stosowny uczynić wybór z wiadomości, które o pewnej osobie źródła nastręczają.

Biografij, które się odnoszą do kapłanów, nie wiele posiadamy, a i te, co istnieją, raczej do historyi aniżeli do literatury duchownej zaliczyć należy. Kajetana Koźmiana żywot biskupa Józefa Szczepana Koźmiana, Maur. Dzieduszyckiego dzieło o arcyb. Sierakowskim, Konst. Hoszowskiego o biskupie Trzebickim, Bronisława Zaleskiego żywot ks. Kajsiewicza, Ludwika br. Dębickiego rzecz o biskupie Łętowskim, ks. Polkowskiego o arcyb. Felińskim, Klemensa Kanteckiego o ks. Prusinowskim, nowe dzieło S. K. o ks. Antonim Kanteckim, choć wszystkie w duchu katolickim napisane, są przeważnie dziełami historycznemi. Zachowanie miary między opowiadaniem wypadków życia a obrokiem duchownym, wysnuwanym z postępków lub pism kapłana, stanowi najgłówniejszą trudność dla jego biografa. Mamy jednak kilka pięknych prac, szczupłych, co prawda, ale dobrych biografij duchownych. Zaliczymy do nich: ks. Brzezińskiego, Filipina z Tarnowa, Żywot ks. Andrzeja Kidoszewskiego. regensa seminaryum w Gnieźnie (Poznań 1864), ks. Bernarda Łubieńskiego biografią bł. Klemensa Hofbauera, oraz żywot O. Prokopa Kapucyna, napisany przez O. Honorata Koźmińskiego. krótki ale pełen treści i nauki.

Ks. Badeni nie jest nowicyuszem na polu biografii: wszak jest autorem żywota ks. prałata Stanisława Chołoniewskiego. Jeżeli się z tego zadania wywiązał zaszczytnie, tem łatwiej mu rzecz przyszła, gdy się zabrał do pracy o członku własnego zakonu. Jedyną trudność nastręczał wybór pośród obfitości wielkiej materyału. Umiał autor oprzeć się chęci aż nazbyt naturalnej powiedzenia jak najwięcej o ks. Antoniewiczu, umiał być zwięzłym, chociaż i tak dzieło jego urosło do znacznej objętości. Zdobi je portret słynnego misyonarza o typie wybitnie ormiańskim, autentyczny a zatem wielce odmienny od znanego, wyidealizowanego sztychu, który się mieści obok mowy żałobnej ks. Jełowickiego. Że źródeł drukowanych, których ks. Badeni używał, widzimy jedno niewymienione, to jest *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*, ks. Barącza, chociaż, jak się zdaje, miał je w ręku i z nich korzystał.

Zaletą książki ks. Badeniego są zręcznie dobrane ustępy z pism tak poetycznych jak prozaicznych ks. Antoniewicza,

[1]) *Przegl. Poz. l. c.* str. 212.

[2]) Ks. Brown w swojej *Bibliotece* wylicza numerów 76, ale i ten spis nie jest dokładny. Oprócz niego pomieszczone są wykazy pism ks. Antoniewicza przy biografii ks. Polkowskiego i w krakowskiem wydaniu poezyj z roku 1861. Poznańska *Warta* drukowała nadto przed laty kilkunastu z rękopisu poezye ks. A. nieznane ks. Badeniemu.

[3]) Umarł w Krakowie 12. sierpnia 1889 r.

a osobliwie z jego listów, których miał w rękopisie do użytku całe zbiory, oprócz trzech, drukowanych niedyskretnie za życia piszącego, co się tłómaczy ówczesnem rozproszeniem zakonu. Chcielibyśmy, gdyby to było podobnem, iść w ślad za autorem i powtórzyć dziwne koleje tego wyjątkowego człowieka, który z obcego ale z nami zjednoczonego narodu pochodząc, urodził się pod Lwowem, a umarł na ostatnich kresach Wielkopolski w pocysterskiej Obrze. Najczulszym był synem, mężem i ojcem rodziny (dziwnej delikatności serca dowiodła historya zawarcia przezeń małżeństwa), a później równie pełnym poświęcenia kapłanem, zakonnikiem i misyonarzem, który zdolność, gorliwość i poświęcenie łączył z wdziękiem i najtkliwszem zawsze sercem. Przez dziwną ironią losu wielki ten miłośnik ojczyzny rozpoczął zawód swój kaznodziejski od niemieckich nauk, prawionych do polskiej gimnazyalnej młodzieży w Nowym Sączu. Takie były wówczas stosunki, do których „z gorzkim musem“ (jak się wyraża Wujek w przekładzie ksiąg machabejskich), z konieczności nagiąć się było trzeba.

Witamy książkę ks. Badeniego jako prawdziwe zbogacenie naszego religijno-literackiego piśmiennictwa. Czytać ją może z pożytkiem i przyjemnością każdy, bez różnicy wieku i stanu, co o niewielu książkach da się powiedzieć.

Z drobnych usterek wymienimy jedne, którą autor powtórzył za ks. Antoniewiczem, a zatem po części za nią winy nie ponosi. Jassy są stolicą Mołdawii, a nie Multan, przez które rozumie dalszą Wołoszczyznę z Bukaresztem. Niestety niema dziś prawie dzieła, nawet *ex professo* geograficznego lub historycznego, któreby pod tym względem nie popełniało omyłki. Aż do połowy wieku XVIII. rozróżniano przecież w Polsce bardzo wyraźnie między Mołdawią a Multanami. Mamy po polsku wierszem skreślone przez Wołoszyna Mirona Kostyna, wielkiego logofeta ziemi mołdawskiej *Opisanie ziemi mołdawskiej i multańskiej* 1684 (ogłoszone w Pismach Józefa hr. Borkowskiego, tom I., Lwów 1856). O mieście Fokszanach powiada Miron Kostyn, że je dzieli rzeka Milków. Część tego miasta z jednej strony potoczka należy do Wołochów (to jest Mołdawianów) a z drugiej strony do Multan. Razby należało to wiekuiste mieszanie Mołdawii i Multan przez ścisłe oznaczenie w podręcznikach geograficznych i atlasach usunąć; oczywiście tej roboty domagać się od ks. Badeniego nie myślimy.

Wzmiankę o Mikołaju Antoniewiczu, krewnym, towarzyszu w podróży do Jass i w powstaniu, uzupełniamy tem, że to późniejszy znany poeta, autor dramatu o Oświecimach i innych rzeczy. Nie zawadzi też wspomnieć, że wieś, gdzie Antoniewicz ślub brał, Zboiska, na które patrzą Lwowianie z Wysokiego Zamku, dziedziczyli Nikorowicze; z nich Józef, zapewne brat lub synowiec pani Antoniewiczowej, zasłynął jako kompozytor chorału, do którego Ujejski dorobił znaną swą pieśń: *Z dymem pożarów*. Po utracie Zboisk Nikorowicz w końcu został nauczycielem muzyki w Chyrowie i tam krótko po założeniu konwiktu dokonał skołatanego żywota w r. 1889, późno po śmierci we Lwowie uczczony przez to, że nazwano ulicę jego imieniem.

Do szan. Autora zanosimy na końcu jeszcze prośbę. Jak nam dał pierwsze wydanie całkowite kazań i poezyi ks. Antoniewicz, niech też da wybór jego listów, nad które trudno coś serdeczniejszego i piękniejszego znaleść. Będzie mu za to społeczeństwo polskie bardzo a bardzo wdzięczne.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. JE. kard. Ledochowski, który po śmierci kard. Hohenlohego stał się pierwszym w rzędzie kardynałów-presbyterów, zrzekł się dotychczasowego swego kardynalskiego tytułu: *Sancta Maria in Ara Coeli*, który w jego miejsce otrzymał nowo-kreowany kardynał Satolli, b. delegat papieski w Ameryce. Kardynał zaś Ledochowski objął po ś. p. kardynale Hohenlohe jego kościół tytularny, św. Wawrzyńca *in Lucina*, położony w bliskości Corso. Jest to jeden z najstarszych kościołów tytularnych kardynalskich w Rzymie i już papież Syxtus III. odnawiał go w połowie piątego wieku. Nazwę jego jedni wywodzą od pobożnej matrony rzymskiej Lucyny, która go miała pierwotnie założyć, drudzy od świątyni Junony *Lucina*, wznoszącej się niegdyś w tej okolicy w dawnym Rzymie.

Kościół św. Wawrzyńca *in Lucina* jest jedną z najważniejszych parafii Rzymu. Paweł V. oddał go Minorytom, którzy są podziśdzień w jego posiadaniu. Pomiędzy wielu relikwiami znajduje się tu krata, na której św. Wawrzyniec był pieczony. Stało się zwyczajem, że każdorazowy najstarszy nominacyą kardynał-presbyter używa tytułu tego kościoła, który jest jedną ze siedmiu świątyń rzymskich, poświęconych czci św. Wawrzyńca, a odróżnianych rozmaitymi przydomkami. Pius IX. leży u św. Wawrzyńca po za murami *(fuori le mura)*, który należy do liczby siedmiu patryarchalnych bazylik rzymskich.

— Nietylko na uniwersytetach niemieckich, lecz także w innych krajach, n. p. w Brukseli i w ogóle wszędzie, gdzie liberalizm przewodzi, panują stosunki mniej lub więcej niezdrowe. Prawda, że bójki różnych korporacyi i demonstracye przeciw niezawisłym profesorom bywały zawsze, ale krnąbrność młodzieży uniwersyteckiej dzięki naukom liberalnym doszła dziś do stopnia, który podobnie jak socyalizm, jest owocem liberalnej mądrości. Pouczający przykład wydarzył się w dniu 12. z. m. na uniwersytecie rzymskim. Było to otwarcie roku szkolnego, a mowę inauguracyjną wypowiedział profesor Labriola, filozof socyalistyczny, znany dobrze z swych zapatrywań tak na uniwersytecie jak w kawiarni Aragno, gdzie zbiegającym się tłumnie słuchaczom uzupełnia swe wykłady uniwersyteckie. Minister oświecenia Gianturco wraz z całym swoim personalem przybył do auli na otwarcie roku szkolnego, aby tę uroczystość uświetnić. Przeważna część profesorów była naturalnie także obecna. Aulę wypełnili ludzie, którzy zawsze tam się znachodzą, gdzie wietrzą skandal; coś więc czuć było w powietrzu. Otwarcia dokonał rektor Semetaro, który chciał studentom udzielać rozsądnych rad, ale wskutek bezustannego sykania nie mógł prawie przyjść do słowa. Studenci czekali niecierpliwie na mowę profesora Labriola. Nareszcie począł mówić, ale wbrew zwyczajowi zaniechał powitania ministra, najwyższego dostojnika w szkolnictwie, choć ten tylko kilka kroków przed nim siedział. Labriola mówił o wolności nauki, a więc o temacie, bardzo dogodnym, aby ministra i najwyższą władzę szkolną dobrze udrapnąć. Nie żałował też sobie i obszedł się z ministrem jak prokurator z oskarżonym. Profesorowie słuchali tego z niechęcią i znikali jeden po drugim, minister jednak pozostał na miejscu, jak gdyby Labriola głosił mu panegiryk Studenci i publiczność zaś za każdą ostrzejszą wycieczką profesora bili szalone brawo. Gdzieindziej i w innym czasie minister, któremuby wydarzyło się coś podobnego, wezwałby rektora, aby nakazał milczeć zuchwałemu mowcy albo przynajmniej byłby wstał i wyszedł. Ale czasy są inne i minister także: może obawiał się jeszcze gorszego skandalu, gdyby odważniej wystąpił. Dość, że gdy profesor zszedł z trybuny, minister. . odwrócił się i wstał?... nic, tego królewsko-włoski minister w obec socyalistycznego profesora nie odważyłby się uczynić — owszem minister przystąpił do profesora, który go obrabiał przez całą godzinę i uścisnął mu rękę. A uczestnicy uroczystości, którzy oklaskiwali profesora, ministrowi za jego uprzejmość podziękowali w ten sposób, że go wygwizdali, gdy opuszczał uniwersytet. Wszystko to logiczne, zauważa *Osservatore Romano*, opisując całe zajście. Taka pobłażliwość musi budzić u profesorów zuchwalstwo, a u studentów anarchią. Pod pozorem swobody badania odrzucono wszelką powagę. Wolnoż wątpić jeszcze, że nadszedł czas zakładania uniwersytetów katolickich?

Niemcy. Dochody stowarzyszenia św. Bonifacego w r. 1895 wynosiły wyżej 3 milionów. Do końca tego roku stowarzyszenie na zakładanie i utrzymywanie kościołów i szkół w gminach protestanckich wydało 20,963,847.21 m. Do tego doliczyć należy roczne wsparcia misyi i szkół w kwocie 7,997,445.16 m., wydane na nabycie gruntów pod kościoły i szkoły 9.494,593.17 m., a rozpożyczonych 3,444,798.88 m. W Berlinie wydano w roku zeszłym 75.000, w Hamburgu 60.000 m. — Z germanizowaniem W. Ks. Poznańskiego idzie w parze jego protestantyzowanie. Na koszt państwa założono wiele szkół i kościołów protestanckich. O charakterystycznem wydarzeniu donoszą z Kempna; założono tam szpital, a magistrat do pielęgnowania chorych powołał katolickie siostry Boromeuszki. Minister wyznań odmówił im jednak pozwolenia, aby poświęciły się opiece chorych w tym szpitalu

i zaproponował do tego protestanckie dyakonissy czerwonego krzyża, podając za powód, że w okolicach z ludnością przeważnie lub w połowie protestancką należy im pierwszeństwo. Obwód kempnieński liczy 26.501 katolików, a 4.876 protestantów.

Bawarya. W Monachium ustąpiła niedawno według przepisów ustawy trzecia część rady gminnej po dziewięcioletniem urzędowaniu. Na dzień 2. b. m. wyznaczono nowe wybory z 20 kół wyborczych. Chodziło przedewszystkiem o walkę żywiołów porządku przeciw socyalnej demokracyi, która przy ostatnich wyborach do Reichstagu odniosła świetne zwycięstwo. Walka się powiodła, bo katolikom i liberałom udało się pobić socyalistów we wszystkich kołach wyborczych, choć oddali 3.438 kart głosowania. Tak więc do rady gminnej należy jeden jeszcze socyalny demokrata z dawniejszego wyboru. Klęska ta wywołała wielkie rozgoryczenie w obozie socyalistycznym, który w swoim organie tak się wyraża: „W skutek intryg kompromisowych udało się wprawdzie „stronnictwom porządku“ wydrzeć socyalnym demokratom należne im zastępstwo w gminie, ale głosów socyalistycznych nie mogą usunąć ze świata, będą one rosły i mnożyły się... nie chodzi o to, czy liberali czy ultramontanie zasiadają na ratuszu, precz z jednymi i drugimi“! Większość głosów anty-socyalistycznych pochodzi od stronnictwa centrum. Stronnictwo to zatrzymało nietylko wszystkie dotychczasowe krzesła, ale zdobyło jedno nowe tak, że liczy 10 zastępców. Liberali oddali 5.809 głosów, a stracili jeden okręg. Pomimo tego mają większość w radzie, a mianowicie 33 głosów na 60, podczas gdy centrum 26. Centrum przed laty 3 miało głosów 4.060, dziś zaś 6.006. Powodzenie to przypisać należy powstaniu i rozwojowi katolickich stowarzyszeń robotniczych, które przeciw socyalistom idą zwartym szeregiem, a cieszą się dzielnem i roztropnem przewodnictwem duchowieństwa.

Rosya. Według wiadomości z Petersburga rząd miał w zasadzie zgodzić się na budowę drugiego kościoła katolickiego w Kijowie, jeżeli będą zebrane potrzebne na to fundusze i stosowne plany budowy przedłożone. Upatrują w tem nowy objaw ducha liberalnego, który ożywia obecnie sfery decydujące, zwłaszcza, że mimo konieczną potrzebę drugiego kościoła dla licznych katolików w Kijowie, za poprzednich rządów wszelkie kroki ku temu były bezskuteczne.

Francya. Izba skreśliła znowu z budżetu wyznań 805.100 fr. dzieje się tak od lat 17. Płace kanoników uszczuplono o 30.000 fr., pensye deficyentów o 18.000 fr., kredyt na restauracye budowli kościelnych o 109.000 fr. Sprawozdawca wnioski swe usprawiedliwiał niekorzystnem położeniem finansowem; jak zwykle skrupiło się tylko na duchowieństwie katolickiem, a dla gmin protestanckich i żydowskich pomieszczano w budżecie znaczne subwencye, bo po 50.000 fr. i wyżej, nie zmiejszono też poborów urzędników państwowych.

Hiszpania. Dziewięciu OO. Karmelitów odpłynęło na Kubę, aby tam na polu walki i w szpitalach wojskowych pełnić posługę samarytańską. Przełożeni zakonu ubolewają, że w tej chwili nie mogą wysłać więcej ojców. W tym samym celu odpłynęło niedawno 14 sióstr miłosiernych na największą z wysp antylskich. Wraz z niemi powrócił do swej dyecezyi arcybiskup z Santiago na Kubie, który przebywał w Hiszpanii w sprawach kościelno-politycznych. Konwent Dominikanów w Kadyksie oferował swe usługi do pielęgnowania rannych i chorych żołnierzy. Patryotyczny kler oświadczył gotowość złożenia wszelkich swoich kosztowności (o ile je posiada) na ołtarzu ojczyzny, co cała prasa powitała z uznaniem i podziwieniem.

Afryka. Według wiadomości z Sztokholmu, Menelik misyi protestanckiej, utrzymywanej w Harraz przez towarzystwo ewangelickie w Sztokholmie, miał zakazać wykonywania swej działalności. *Corr. verde* donosi z Rzymu, że między Menelikiem a Watykanem toczą się rokowania o urządzenie misyi katolickich w całej Etyopii. Menelik miał okazać życzliwość w obec uczynionych sobie propozycyi i spodziewa się po misyach ogólnego podniesienia cywilizacyi w kraju. Utrudnienia czyni kler abisyński tudzież wpływy Rosyi, która obawia się stracić wszelki grunt w Abisynii, jeżeli katolicyzm tam się utwierdzi.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obrz. łać.

Jurysdykcyą otrzymał. O. Churain Rudolf T. J. superior domu Stanisławowskiego, tudzież O. Broda Filip zak. OO. Bernardynów.

Zmarli: ks. Niemiec Dawid. defic., były administrator w Żydaczowie, 12. grudnia b. r. w Turzy powiecie gorlickim dyec. przemyskiej; ks. Stakien Romuald, prob. w Sokolnikach, 19. b. m. *R. i. p.*

W kancelaryi konsystorza obrzad. łać. jest do nabycia *Rubrycela* na r. 1897, po 25 ct. za egzemplarz.

Dyecezya przemyska.

Instytuowany na probostwo w Łubnie ks. Wawrzyniec Czayka, wik. w Dzikowcu.

Przeniesiony ks. J. Kołeczek z Święcan do Głogowa.

Dyecezya tarnowska.

Przeniesiony ks. Błażej Potoczek z Łapczycy do Tymowej.

Zmarł w Zgórsku miejscowy wikaryusz ks. Julian Trybowski w 32 roku życia, w 7 kapłaństwa. Nieboszczyk przy swojej zacności kapłańskiej odznaczał się szczególniejszem uzdolnieniem i zamiłowaniem w katechizowaniu. Niestety, z powodu wcześnie rozwiniętej choroby piersiowej musiał złożyć katechetur̨ę w Mielcu i szukać ulgi na wiejskiej parafii, gdzie życia pracowitego dokonał tak rychło.

ŚWIADECTWO.

P. Antoni Stopa *artysta-malarz z Makowa* odmalował cały tutejszy kościół olejno w stylu odrodzenia bardzo gustownie i pięknie. Sufit kościoła ozdobił obrazami i figurami po mistrzowsku oddanymi, wśród których znajduje się także 12-tu apostołów. Ponieważ p. *A. Stopa* jako artysta prawdziwy pracuje dla sztuki, a nie dla zysku, a przytem jest inteligentnym, miłym i sumiennym, dla tego polecam Go gorąco P. T. Konfratrom.

X. Władysław Dobrzański, proboszcz
w Cięcinie, o. p. Węgierska-Górka

Na kolendę!

Obrazki Świętych

tak własnego nakładu (staloryty z koronkami, chromolitografie) jak i obcych wydawnictw

najtaniej i w największym wyborze

poleca

KSIĘGARNIA KATOLICKA

Dr. Wł. Miłkowskiego

w Krakowie.

Znakomite naturalne smakiem **muszkatelki**

WINO TOSKAŃSKIE

po 45 ct. za litr

wraz z beczką, od 5-ciu garncy zwyż, opłatnie do każdej stacyi kolejowej

poleca

EDMUND KLIMEK

w Krakowie linia A—B.

Organista kawaler gra i śpiewa po niemiecku i po polsku, pisarz, potrafi uczyć śpiewu 4 głosowego, mógłby prowadzić sklep, szuka posady od Nowego Roku. *Adres:* **Redakcya Rozmaitości** *w Bruckenthalu, p. Uhnów.*

JULIAN KURKIEWICZ, Kraków, Mały Rynek

hurtowny i częściowy handel artykułów religijnych

poleca w wielkim wyborze

KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA

wszelkich wydań dla każdego wieku i stanu w oprawach od najskromniejszych do najwykwintniejszych.

OBRAZY ŚWIĘTYCH PAŃSKICH

w ramach lub bez ram, każdy żądany wizerunek; **Obrazy do ołtarzy, chorągwi i feretronów; figury Świętych** w każdej wielkości; **Krzyże i krzyżyki, Różańce, koronki, szkaplerze, medaliki** i wiele tym podobnych artykułów.

STACYE DROGI KRZYŻOWEJ

w ramach lub bez ram po prawdziwie niskich cenach.

Na kolendę

wielki wybór obrazków do książek z polskiemi modlitewkami w setkach, arkuszach i tuzinach, litografie, staloryty i sztychy, a mianowicie:

100 pięknych litografij sortowanych po cenach ct. 15, 20, 30, 40, 50, 60, 80, 90, złr. 1, 1·20, 1·40, 1·50, 1·60, 1·80, 2, 2·50.

Sztychy w koronkach

za 100 sztuk sortowanych złr. 1·60, 1·80, 2, 2·50, 3 i wyżej.

Wzory obrazków na żądanie przesyła darmo i opłatnie.

Wszelkich objaśnień i kosztorysów na obrazy, krzyże, figury, chorągwie, stacye Drogi krzyżowej, na żądanie udziela chętnie i zaraz.



Rok założenia 1820.

Srebrny medal w Paryżu 1878

Dyplom pochw. w Wiedniu 1873.

INSAM & PRINOTH

St. Ulrich

w Gröden (Tyrol)

polecają

swoje WYROBY kościelne

z drzewa

ołtarze, ambony, konfesyonały, chrzcielnice, Stacye Drogi krzyżowej, Groby Chrystusa Pana, posągi Świętych, i t. d.

po najniższych cenach.

Cenniki darmo i opłatnie.

ŚWIADECTWO:

Statua nadeszła w zupełnie dobrym stanie. Za artystyczne, stylowe wykonanie, które u każdego podziw wzbudza, brak słów pochwalnych. Przyjmij Pan moje najserdeczniejsze podziękowanie za Pańską pracę.

Alexandrya w Egipcie.

O. Raymund Bayerl

apost. wikaryusz i mis. w konwencie św. Katarzyny.

DWUTYGODNIK KATECHETYCZNY

poświęcony sprawom religijnego nauczania i wychowania

wychodzi w Tarnowie

5-go i 22-go każdego miesiąca wyjąwszy wakacyj.

Prenumerata wynosi: rocznie **3** złr. **50** ct.; półrocznie **1** złr. **80** ct.

(Do nabycia także za intencye, o ile zapas starczy).

I. kraj. chrześć. Zakład medalików „Emanuel od św. Józefa"

KRAKÓW, ulica Sienna l. 12.

Posiada zapas gotowych medalików *własnego wyrobu* z wizerunkami Świętych, z polskimi napisami. Również dla ob. grec.-unickiego medaliki Serca Jezus. z ruskimi napisami.

Kościelne świece woskowe, paschały, białe i ozdobne stoczki, kwiaty do świec

GŁÓWNY SKŁAD najlepszych świec stearynowych i kandelabrowych „Apollo" poleca najtaniej

Fabryka świec i blichownia wosku

FRYDERYKA SCHUBUTHA

we LWOWIE, Rynek 45.

GŁÓWNY SKŁAD herbaty chińskiej.

Cenniki szczegółowe na żądanie franco.

Nie ma potrzeby sprowadzać z zagranicy!!

!!Obrazki i dewocyonalia!!

NA KOLENDĘ

poleca najtaniej

Wincenty Kuczabiński

we Lwowie, ul. Kopernika l. 2.

nakładca książek do nabożeństwa i fabrykant przedmiotów treści religijnej,

bogato zaopatrzony skład **obrazków św.** i **medalików** z tekstem polskim, różańców i t. p. Czcigodne Duchowieństwo upraszam, by z okazyi zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, zażądali obrazków na okaz i według nich raczyli mnie zaszczycić swojemi zamówieniami.

Obrazków 100

15, 20, 30, 36, 50, 60 ct., 1, 1·20, 1·50, 2 złr. i t. d.

Książki do nabożeństwa w eleganckich oprawach 16 ct. i wyżej.

Medaliki i krzyżyki od 8 ct. za tuzin

WINCENTY KUCZABIŃSKI

LWÓW, ul. Kopernika 2.

Ludwik Szponarowicz, organista

młody, stanu wolnego, wolny od wojska, mający chlubne świadectwa, grający na organie i innych instrumentach szuka posady.

Adres: **Szponarowicz,** *w Jarosławiu.*

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.